

III. Wrodzona łamliwość

Przerdzewiała rama roweru, krucha jak krakers, albo herbatnik.

Jej równie niesztyniacki, mało stabilny właściciel.

Urywane myśli przetaczające się przez kłębowisko liści, które przed długą chwilą były moją, a więc jak najbardziej ludzką głową.

Zdendrologizowanie na całego, ja w gałęziach, patysiach, ja — łamak.

Obraz ciśnie się za obrazem, niektóre stoją w kolejce jak za Peerelu. Co rzucili do pobitego mózgu-sklepu? Wędliny, cukier? Wódkę na kartki? Nie ma, co to za wywieszka „Towaru brak”, jak to? Kto wypił całą, zużył zapasy ołówków, papieru toaletowego, Przemysławki? Ci na górze, czerwoni?

Wiadomo, któzby inny... Zawsze się obłowią, nie muszą się nawet dopychać, wyrwać sobie z łap, warczyć jeden na drugiego... Wszystko podane na posrebrzanej tacy — prosto pod pysk, bierzcie, ile zdołacie unieść, ile zmieści się do bagażnika służbowej wołgi...

Od późnego wieczora sto... leżę w ogonku, wpisany wielkimi i tłustymi literami na listę kolejkową.

Czekam, aż przyjdzie moja kolej, stanę w pozycji horyzontalnej (jest noc, więc nie istnieją paradoksy, wszystko jest możliwe!) przed ladą, tłustą sklepową o marsowej minie, babsztylem, za którym rozciągają się autostrady pustych pól, haki, na których nie wisi nawet najbardziej zaschnięte mięsivo i poproszę o upragnione uczucie; zapytam grzecznie, czy jest samoświadomość, możliwość samostanowienia, jakiegokolwiek „samo”, które nie wiązałoby się z bezproduktywnym, trupiokształtnym leżeniem w rowie, jak na przykład samobójstwo, czy samozagłada; pozwoliło się, pomimo ogólnego bólu, wszechpotłuczenia, podźwignąć nieco bardziej do pionu, oszacować skalę zniszczeń.

Uśmiechnę się z przewidywanej, wywarczonej odpowiedzi „nie ma”.

Natalka, moja kryzysowa narzeczona — niemożliwie daleko. Wszyscy inni ludzie zresztą — też.

Światła się toczą po jezdni, słyszę przejeżdżające auta. Może to wydać się śmieszne, ale z mojej perspektywy — rowu, wydaje się, jakby one... tupaty; każdy samochód odpierdziałał właśnie sprint, może maraton, w gumowych szpilkach, do tego po żwirze.

Biegna, nissany, audice, alfy romeo, blade, jak to logo z mojej, cholera wie, gdzie teraz leżącej, spranej czapki, naginają passaty i — tfu! — golfy, po ciemne złoto, puchar z nocnego kruszcu bez wartości. Łup, łup, łup, łup, kszczach, dszczach! — dla samej idei biegu, zużywania bieżnika na podszwach, wypalania benzyny, gazu, ropy, opróżniania baków z niskooktanowego prądu.

A mi się pół — dogorywa, a mi się jest w stanie para — letalnym. Właściwie żyję, w uszach ciągle śpiewa Panas, zainstalował się tam i nie ma zamiaru wychodzić.

Niby jestem w jednym kawałku, choć kto mnie tam wie. Rower patrzy wodnistym okiem w niebo, jego mdłe światelko gubi się w bezkresach. Batarejeczka — pewnie też gapi się w nicość, tylko bliższą mi, w szaro-bure, nieczytelne liście, pismo klinowe powygryzane przez gąsienice.

Jeszcze nie myślę o wstawaniu. Potem się spionizuję, gdy drzewa, co je ledwie widzę, zmęczą się i przestaną kołować, gdy znudzą się, czupryniastym olbrzymom obertasy.

Cicho, pomyślmy o czymś zabawnym, nie ma sensu koncentrować się na rosnącym tu i ówdzie bólu. Jeszcze się najojczej, znając życie, jeszcze przyjdzie się nacierpieć, jak nic — w szpitalu.

Jaśka Chomiukowa ciągle powraca na stare śmieci, kryje się w zakamarkach obejścia.

Nie, to akurat mało zabawne.

Ale taki na przykład ojciec Kazika Wojczuka, bodajże Marian mu było...

Oszalał na stare lata, w mocno podeszłym wieku, podobno, bo nie widziałem na własne oczy, zmarł lata całe zanim się urodziłem; mając grubo ponad osiemdziesiątkę uznał, że będzie się... wietrzyć. Analnie.

Parskam śmiechem z określenia, jakie właśnie wymyśliłem i czuję, jak odzywają się nie tyle połamane, co wręcz pokruszone w drobny maczuś, zgniecione na miazgę żebra (odzywają, ale jakoś tak mamrotliwie, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią).

Pan Marian z powycinanymi w spodniach, na tyłku, dziurami, chodzący tak świątek — piątek, nawet do kościoła. Oczywiście — bez bielizny.

Starszy pan świecący różowo-czerwonymi pośladami jak pawian. Jego żona załamująca ręce, zboląła, czekając... warująca u furtki, gdy tylko wybywał do sklepu, albo na niedzielną mszę.

Stabat Žoner Dolorosa, nasza Matka Boska Źuchalińska, cierpiąca katusze na widok męża umęczonego chorobą, znosząca podśmiechujki (znając Źuchalińskich — nie dawali żyć biedaczce, choć nie było w tym cienia jej winy, obrywała ciężkim rechotem prosto w łeb, jak obuchem).

E, znowu nieśmieszne. Tragedia ludzka, przykra, a nie komiczna. Choroba umysłowa nie wybiera, wczoraj on, jutro ja czy ty możemy latać z wiechem słomy w zębach, chlastać ubrania, czy twierdzić, że przybyliśmy z planety XDT-9847 i pragniemy skolonizować Ziemię, żądamy natychmiastowego spotkania z najwyższymi władzami — jeśli nie świata całego, to chociaż Europy.

Chcę się rozweselić, pobycć autokomikiem, nie myśleć o fatalnym położeniu, w jakim się, kuźwa, znajduję. W jakie wpierniczył mnie golfiarz.

Zderzyło się dwóch graciarzy, jeden - pojechał w najlepsze, pewnie na resztki Dni Hempalina (zabawa z dj-em, plenerowa dyskoteka ma trwać do białego rana), dopić sobie, bo co to są żalodne dwa - trzy promile, młody chłopak, zwłaszcza na wsi, w letnią, wakacyjną noc choćby dla przyzwoitości powinien mieć ze cztery; drugi - zmienił się w Konana, co kona barbarzyńsko w melioracyjnym rowie, niezauważony przez nikogo.

Tyłek mnie boli, więc chyba będzie, obity, wyglądać jak u starego Wojczuka w mroźne dni...

Kolejny raz mści się bycie odludkiem, gdybym miał komórkę — mógłbym wezwać pomoc, jeśli nie aż dzwonić na pogotowie, to przynajmniej do ojca, czy jakiegoś kumpla, by przyjechali zholować zwłoki, poratowali denata w potrzebie. A tak... Leż tu i czekaj świtu, módl się, choć nie masz do kogo, by cię nie pożarły lisy, łasice, wilki nie zwęszyły świeżej krwi, he, he.

Mam w sobie małą wojnę i nienawidzę sukinsyna, co mnie potracił.

A jedź, buraku, wrogu mój, co wykrzywiasz usta, wciąż bardziej obcy, rozwal się w zardzewiałej dryndzie, nigdy już nie zobacz lustra, w nim — przepitej mordziaki przymuła.

Kręć się po bezdrożach szrotem z Reichu, to wszystko, co dziś możesz mieć...

IV. Gentryfiko

Spękana gleba miejscami przechodząca w... skórę. Krainka rozpoczynającej się, nieśmiało jeszcze, dosyć niewinnie, starości... Zbabcienie, stawanie się własną prababulą, powolne umieranie na najpowszechniejszą z chorób — poedeszły wiek. No kurwa żesz jasna mać, że zacytuję jakiegoś amerykańskiego teleewangelistę... — Natalia nie wie czy śmiać się, czy płakać.

Lustro, przed którym stoi, to zaprzysięgły wróg. Najlepiej byłoby w ogóle się w nim nie przeglądać, mając szyderczego zbója, albo zasłonić czarną płachtą, jak to do tej pory robią niektórzy podczas żałoby.

Cholera, u niej też właśnie ktoś umarł. Młoda laska odeszła bezpowrotnie w przeszłość-przepaść, jakiś czas temu runęła po stromiźnie i jej szczątki, to, co nie zostało rozwleczone przez dziką zwierzynę, rozkłada się na głązach.

Czterdzieści pięć lat — niby niedużo, a — o — tu, jaki nawis inflacyjny dynda, tu też- wylewa się faldzisko...

Piersi — jakby posmutniały i gapią się smętnym wzrokiem, czarnymi suto-tęczówkami, coraz bardziej schylając się ku ziemi... Niedługo pewnie sięgną brzucha, za rok — dwa będę nimi zamiatać podłogę, albo urwą się całkiem, sflaczały do imentu...

Jakbym się wykąpała w postarzaczu i to nie raz, chcąc mieć zmarszczki pochlastała cienkim nożykiem, do tego, żeby szybko przytyć, wstrzyknęła pod skórę całą tubkę bitej śmietany...

No co u licha? Przecież to jakaś komedia... Nie, żeby wyglądać jak J. Lo, choć swoją drogą — ona nawet starsza jest ode mnie, ale bez przesady, jakieś zasady powinny obowiązywać, nawet w posuwaniu się w latach. Byciu posuwaną przez czas.

Nie pomagają ćwiczenia z Mel B, Mel C, Mel Z, Chodakowską, Lewandowską, wszystkimi gimanastyczkami-pro-fiterkami, pro-slim- fitness- trenerkami personalnymi, motywacyjnymi, co to prężąc się, jakby były z miękkiej gumy ucza, jak, nabywając pewności siebie, rozciągając uda, pachwiny, spalać zbędny tłuszcz...

Przestaję wierzyć w dietetyzmy objawione słynnych jak i mało znanych dietetyczek, programy żywieniowe, rzekomo układane dla astronautów, przyszłych sportsmenów, kulturystów robiących najpierw rzeźbę, potem masę, więc opacznie; zaczyna mnie śmieszyć wiedza tajemna z Tiny, Claudii, Pani domu, nawet z polskiego Cosmpopolitan.

Schudnąć po prostu się nie da, odstarzeć — też; można co prawda szamotać się, łapać pazurami i kurczowo trzymać resztki młodości, botoksować, ostrzykiwać jadem kielbasianym, jadem żmii, kobry patagońskiej, naciągać twarz, szyję, mieć waginoplastykę, ale to i tak na nic, w najgorszym razie będzie się wyglądać jak Jackie Stallone, Pete Burns, albo Hunter Tylo, ta, co gra, albo grała w Modzie na sukces; jak parodia, nieudana kopia samej siebie.

Zostać ofiarą operacji plastycznych — żaden problem, nie przypominać staruszki bez tego, nawet dbając o siebie — w cholerę trudniej.

Piotr ma prawie pięćdziesiąt sześć lat, pewnie nie takie rzeczy widział, komplementuje, jaka to niby piękna jestem, jaka młodziska, ale, choroba, wiem swoje, jeszcze nie oślepiłam, nie straciłam zmysłu dotyku. Zdaję sobie sprawę, że dla niego mogłabym być dwadzieścia kilo grubsza, bardziej pomarszczona, może nawet posiwiiała, bez paru zębów... I tak by się durzył, dureń (to niemal synonimy!), wpatrzony we mnie jak w obrazek.

Tyle lat młodsza, do tego — wolna, no, prawie, bo związek z Krzyśkiem to przecież farsa i atrapa w jednym; niemal bezdzielna, bo co to jest jedno, w zadsadzie nieistotne, w granicach błędu statystycznego, jedno to prawie nie przychówek, można śmiało uznać, że ze mnie prawie dziewica, smukła, zgrabniutka licealistka, co nawiewa z budy, bo woli wtulić w się w jego silne, męskie tramiona, niż pisać kartkówkę z chemii, czy angielskiego...

On — łysawy i z brzuszkiem, mocno posunięty, przynajmniej wizualnie, przez upływający czas, wyglądający jak mój jeśli nie ojciec, to dużo starszy brat. Nic dziwnego, że w jego oczach jestem niemal nastolatką...

Podtusiały na całego, ale za to, w przeciwieństwie do mojego quasi-chłopaka — w pełni... hmmm...

Posiadający normalne, męskie potrzeby — o tak, nieco dyplomatycznie powiem. Krzychu to dobry chłopak, nie powiem, trochę pogubiony, bardzo niedojrzały jak sam o sobie mówi — jedyny hippies w okolicy, ale... cholera...

Nie raz i nie dwa myślałam, by nie patrzeć na tę jego wadę, dziwactwo, chorobę, sama już nie bardzo wiem, jak to właściwie nazwać, mimo wszystko spróbować sobie ułożyć z nim życie; zdradzać oczywiście od czasu do czasu, na co dawałby mi pełne przyzwolenie...

Ale tak się chyba nie da, przynajmniej ja nie mogę, nie umiem żyć w tego typu nieznośnym, potwornym wręcz dualizmie, wychodzić wieczorami na szybki numer z przypadkowym gachem i wracać p jakimś czasie, jakby nigdy nic, do swojego faceta, usmiechać się, może nawet opowiadać ze szczegółami jak było, co robiłam, opisywać pozycje...

Początkowo myślałam, że to moja wina, odstręczają go te wałeczki, nadprogramowe kilogramy, że widzi we mnie nie partnerkę, dziewczynę, a obleśną opiekunkę, sześćdziesiąt lat starszą niankę, co się klei, uparła się, by całować chłopczyka, oczywiście — z jęczyzkiem...

Długie tygodnie obwiniałam się, że jestem za mało atrakcyjna, wpadłam w wielkiego doła, frustrację, wręcz otarłam się o deprechę, bo, do diabła — świadomość, że dla własnego faceta jesteś paskudna... koszmar.

Ale nie, on tak w stosunku, choć stosunek to w tym wypadku nie najlepsze słowo... On po prostu jest, naprawdę JEST aseksualny, nie ściemnia z tą całą rzadko spotykaną orientacją, zrzeszeniem podobnych aseksów, AVENem, do którego chce się zapisać...

Przytulanie się — uwielbia bardziej, niż bardzo, czułe słówka, zapewnianie o miłości, kolacje przy świecach, romantyk, kocha...

A jak przychodzi co do czego — kamienieje, jakby zamiast kobiety był w jednym pomieszczeniu ze stadem wygłodniałych tygrysów szablatozębnych. Wszelka fizyczność w wymiarze erotycznym budzi w nim niezrozumiały opór, by nie powiedzieć — wstręt...

Nie tyle esencja, meritum — wagina, piersi, używanie własnych klejnotów, wprawienie w ruch penisa z zerowym jeszcze przebiegiem, co ogół zachowań seksualnych, nawet głupie pocałunki z jęczyzkiem.

Potrzymać za rączkę — tak, rączka wędrująca w okolice rozporoka — nie.

O terapii, wizycie u seksuologa — nie chce słyszeć, upiera się, że nic mu nie jest, orientacji się nie leczy, bo to nie żadne zaburzenie, należy mu pozwolić być sobą; nie należy do żadnego ruchu LGBT, bo nie identyfikuje się z homo- ani heteroseksualistami, jest hetero w wymiarze duchowym, płciowo — jak sam mówił z miną znawcy — carte blanche, która nie powinna, NIE MOŻE być zapisana choćby jednym słowem, bo byłby to gwałt, przemoc, wzięcie siłą, naruszenie niezbywalnego prawa do wolności osobistej...

Mój szalony hippie-punk, trzydziestoczteroletni prawiczek, lider jednoosobowych kapel indie-rockowych o dziwacznych nazwach: Samiśta Chudobę Wyrznięli, a Teraz na Czarta Zwalacie, Wpieprzyżesz się, Jarek, w Te Reliefy, Jak Stara Baba Dupą w Kartoflisko, czy Pochowani Na Zboczach Kanczendzongi...

Mój zboczek zamarnięty na zboczu góry NIE, niewulkanicznego szczytu, który usypano z braku potrzeb, z zaprzeczeń, niechcianych ascez, niezawinionych rozstań, ze smutku, gdy opuszcza się ukochaną osobę, bo na dłuższą metę nie da się z nią normalnie żyć.

Piotr zjawił, by nie powiedzieć przypałętał się w samą porę, gdy byłam na dnie, co tu ukrywać — rozpacz, miotałam się, chciałam odejść od Krzyśka i cały czas mu matkować, udać się na swego rodzaju emigrację duchową — zamieszkać z nim i kupić pół reklamówki wibratorów, dildosów różnej wielkości, zastępować nimi (to już najwyższa, forma desperacji, ultrażałosność!) ukochanego, może nawet zaprzyjaźnić się z którymś, dajmy na to trzydziestocentymetrowym Romkiem, czy Grześkiem, bo oczywiście każdemu nadałabym imię, może nawet wymyśliła życiorys...

Głupia wymiana zdań na facebookowej grupie dla fotografów-amatorów, lajkowanie zdjęć, głupie jedno spotkanie, drugie...

Całkiem mądra, realistyczna chęć wejścia w kolejny, wolny od idiotycznych obciążeń związek.

Piotr, któremu nie przeszkadza, że jestem rozwódką z dzieckiem, sam ma trójkę własną...

Krzysiek, oczywiście, od początku wie o wszystkim. Odetchnął z ulgą, że jakoś sobie radzę, moje emocje znajdują ujście, nie tłamszę w sobie, nie kiszę jak w beczce, potrzebę, przyjął na klatę moój związek, o ile to już związek, z innym mężczyzną, ale... prosi, tak bardzo prosi, bym nie odchodziła. Czasami, po pijaku, dzwoni z jęko-płaczem, klnie jak szewc, prawie grozi samobójstwem, samookaleczeniem, już-już saiada na rower, pedałuje do Białej Podlaskiej, tam — idzie na tory. Zmienia się wtedy w pięciolatka, dziecinnieje na całego.

Potem dzwoni z przeprosinami, stara się zrzucić wszystko na karb pijaństwa, ale widzę, że cierpi z bezsilności. Tego nie da się ukryć, przynajmniej mój artysta alternatywny nie jest na tyle dobrym aktorem.

Smutniej, gdy o nim myślę. Porzucić go, to jakby zostawić własnego synka, niemowlę, w środku lasu, skazać na pewną śmierć; lepiej — zakleić buzię taśmą i posadzić na mrowisku, patrzeć, jak oblażą go owady, jest powoli zjadany...

Chciałabym być z Krzysiem, to przesympatyczny truteń, odklejony od rzeczywistości pacyfistawianiczek, co symuluje chorobę psychiczną, by nie zostać wziętym do wojska, choć wie, że już dawno zlikwidowano przymusowy pobór; w końcu to on wprowadził mnie w świat... chmur. Nie narkotyków, ale, całkiem trzeźwego, choć nieco pozbawionego przytomności lotu, swobodnego unoszenia się wysoko nad ziemią.

Przy nim najbardziej zbucowały kierownik zmiany, nadsztygar, czy trep, ktoś umiejący jedynie wydawać polecenia i krzyczeć, wywyższać się i opieprzać innych, poczułby się długowłosym stałym bywalcem Pol'and'Rock Festivalu, rozchichotanym nastolatkiem zasłuchanym w kwasowych kapelach z lat sześćdziesiątych...

Skrzywdzić takie kudłate niebożątka jak Krzycho, to jakby wdepnąć w łajno i przejść się po dobio co zaścielonym, białym prześcieradle. Nie przesadzam, zrobienie świństwa naiwniaczkowi bożemu równałoby się zbrukaniu czegoś — tak, a nie inaczej to widzę.

To jedno z największych draństw, jakie jesteś sobie w stanie wyobrazić, wypalenie oczu szczeniaczki, czy posadzenie wspomnianego bobasa na mrowisku.

Prosta sprawa: nie jesteś psychopatycznym sadystą — nie wchodzisz w to, mierzi cię sama myśl, zwizualizowanie w głowie podobnego czynu.

Ten rodzaj ludzi wymaga specjalnego traktowania: najlepiej trzymać ich w kryształowych puzderkach, regularnie podlewać piwem, lub wódką (wina organicznie nie znoszą), zabawiać muzyką (w grę mogą wchodzić jedynie metale ciężkie i wszelkie gartunki rocka, hip-hop, a zwłaszcza disco polo - wykluczone).

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 03.09.2019 08:49

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.